



Tomasz Łubieński

1939

ZACZEŁO SIĘ WE WRZEŚNIU



TOMASZ ŁUBIEŃSKI

1939

ZACZEŁO SIĘ WE WRZEŚNIU

1. Czy wrzesień 1939 roku pamiętnego będzie raz jeszcze, na swoją siedemdziesiątą rocznicę tematem jakiejś istotnej a przynajmniej ciekawej dyskusji, którą podniosłe nazwiemy publiczną debatą? Dziś, kiedy odchodzą, zwłaszcza zimą, wśród gwałtownych skoków ciśnienia, odwilży i zamieci, przekraczając z trudem dziewięćdziesiątkę ostatni żołnierze wrześniowej kampanii. Których (czy tylko dlatego, że jest ich już tak niewiele?) pamięta się niewyraźnie.

O wiele słabiej niż powstańców warszawskich. Tu pamięci przychodzą z pomocą fotografie, kroniki filmowe. A na nich młodzi chłopcy w zdobycznych panterkach i hełmach, z literami AK na biało-czerwonych opaskach. Obok sanitariuszki, torba przez ramię i lok spod furazerki.

Weterani 1863 mieli przed wojną swoje doroczne styczniowe święta, defilady z medalami, zbiorowe fotografie. Co więcej, skomponowano i uszyto im okolicznościowe mundury. Według ubiorów którejs z partii powstańczych, co za wszelką cenę (bo to tęsknota każdej partyzantki) chciała wyglądać jak regularne wojsko. Co do przedwojennych polskich mundurów ujednoliconych dla każdej broni, a więc piechoty z numerem pułkowym, kawalerii (kolorowe proporcezki furkoczące pod melodie żurawiejek), strojnej brygady podhalańskiej w pelerynach i kapeluszach z piórkiem, saperów w butach z wysokimi cholewami, marynarki wojennej, artylerii i lotnictwa, to można je oglądać nie tylko w muzeach, również w niejednej szafie, gdzie na pewno przeżyją swoich właścicieli. Nie byłoby więc problemów z rekonstrukcją.

Ale weteranów przegranej kampanii 1939 roku nie pamięta się tak, jak przed wojną pamiętało się o weteranach roku 1863, chociaż od jednej i drugiej klęski do kolejnej niepodległości odległość jest podobna: kilkadziesiąt trudnych lat.

To prawda, podczas kampanii wrześniowej niewiele zostało z tej elegancji, która czyniła z żołnierza, zwłaszcza z oficera, szczególnie kawalerzysty, przedmiot miłości panien i mężatek w każdym domu i w każdej chatce bez wyjątku, o czym mówi piosenka. Opowiadał mi obywatel miasta Kazimierza nad Wisłą, że kiedy podpity ułan o północy włókł za sobą szablę po bruku, starając się szerokim łukiem ominąć studnię na rynku, w okolicznych kamienicach budziły się młode Żydówki i już długo nie mogły zasnąć.

Wrześniowe wojsko nie było już malownicze: ta szara od nocnego marszu, umęczona kurzem i słońcem, ciągle w odwrocie, czasem w rozpaczliwym kontrataku piechota i konie rozbiegające się na wszystkie strony świata pod bombami. Żołnierze pomieszani z cywilami, oddział, tłum, ludzie, zwierzęta, i jak tu wymagać od młodych lotników z rasy panów, żeby atakując taką zatłoczoną szosę troszczyli się o precyzję.

Zresztą o każdej porze i każdego roku ubywa nie tylko weteranów, również świadków wrześniowej katastrofy, podówczas dzieci. Więc coraz trudniej, a zarazem coraz łatwiej, to znaczy dowolniej będzie się tamtą datę pamiętało. Oczywiście nigdy nie zabraknie oficjalnych uroczystości, czy ewentualnie sporów w ocenach ludzi i zdarzeń, bo z tego żyją uczeni, specjaliści i publicyści. Od wojen, dyplomacji i alternatywnego spekulowania. Ale referatowe pokłosa konferencji na rocznice ukazują się zwykle z szacownym opóźnieniem. Z kolei medialne spory o dzieje najnowsze giną w bieżącym słowno-muzycznym szumie. A przecież bywa, że całkiem niedawna przeszłość odnosi się do dnia dzisiejszego. Jako źródło, komentarz, analogia, która daje do myślenia, dotyczy nas, dotyka.

Dotyka bezpośrednio, fizycznie: może warto zdać sobie sprawę, że gdyby nie to, co wydarzyło się 1 września 1939 roku i w dniach następnych, życie naszego pokolenia, a także pokoleń obok, czyli po sąsiedzku poprzednich i następnych, wyglądałoby inaczej. To oczywiście, mówiąc emfaticznie – życie narodu, Europy, znacznej części ludzkości, która doświadczyła II Wojny Światowej. Mówiąc prywatnie – każdego z nas. W tym moje własne. Inaczej by wyglądało? Jak mianowicie? Tego nie potrafię i nawet nie chcę sobie, bo po co, wyobrazać. Ale czuję, oglądając się wstecz, że również nade mną, jeszcze niczego wówczas nieświadomym, przesunął się cień historii.

Zdarzyło się nawet, że obchody o kilka lat zaledwie młodszej rocznicy Powstania Warszawskiego odegrały bieżącą polityczną rolę. Powstania, które łączy się z wrześniową katastrofą, dlatego mówię o nim, bo miało być rewanżem, odwetem oczekiwanym przez całą okupację. A tymczasem okazało się tragicznym powtórzeniem, mimo wszelkiej różnicy technicznej i psychologicznej, jaka istnieje między regularną wojną i powstaniem. Powtórką przegranej z tym samym potężnym przeciwnikiem. Walką podjętą bez szansy zwycięstwa, w które za wszelką cenę umówiono się uwierzyć. W daremnym, raz jeszcze, oczekiwaniu pomocy i odsieczy.

A potem pytania, pytania, nocne rodaków nie tylko rozmowy. Również intrygi, porachunki. Nie brak ich po zwycięstwie, więc tym bardziej towarzyszą klęsce. Bo wprawdzie zwycięzców na ogół się nie sądzi, ale przegranych jak najbardziej.

Wokół pamięci Września i Powstania (będę się odtąd posługiwał taką niepoprawną ortograficznie dużą literą) toczono latami walkę o rząd dusz zamiast walki o władzę, która to walka została rozstrzygnięta, póki obowiązywało gwarantowane geopolitycznie hasło powtarzane przez Władysława Gomułkę, a także jego następców: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”.

Zrozumiałe, że nie wspomniał Gomułka, może nawet nie pomyślał, z czyją – no bo z obcą pomocą i przemocą zdobytej. Ale też nie musiał się tym dreczyć, bo wszelka władza w niejasnych przypadkach powołuje się na wyższą sprawiedliwość dziejową, na strażę której czuje się przez historię stawiana mocą faktów dokonanych.

I tu dodajmy Gomułce do towarzystwa, tak trochę na złość, czołowego sanacyjnego pułkownika Bogusława Miedzińskiego, przedwojennego marszałka Senatu, który z otwartością godną towarzysza Wiesława oświadczał: „Jesteśmy skazani na dożywotnie rządy”. Wielce to podobny sposób myślenia: zdradza prędzej czy później groźną dla każdej władzy, doraźnie wygodną arogancję. Poczucie, że jest się jakoś tak misyjnie, a jak trzeba to dla dobra sprawy siłowo, nie do zastąpienia. Tak cynicznie? Jeszcze gorzej. Bo z pełnym przekonaniem. „Nasz wiek jest wiekiem propagandy, a nie demokracji”, pisał mądry Józef Rettinger w „Wiadomościach Literackich”. Nasz XXI wiek również.

Rządzący Polską niepodzielnie, zazdrośnie przed 1939 rokiem, przegrali wrześniową próbę i zapewne nie można było jej wygrać, tylko że oni uczynili to w złym stylu. To znaczy zbyt wielu z nich nie zdało egzaminu w sprawie smaku. O potędze smaku pisał Herbert. W tym wypadku dowodem smaku byłaby skrucha, przyznanie się do błędów i zaniedbań, których przyczyną była właśnie arogancja, siostra ignorancji. Przyznanie się choćby po latach.

Niestety, jaki polityk czy wojskowy dobrowolnie przyzna się do odpowiedzialności za przegraną? Zresztą nie musi. Zrobią to za niego rywale i przeciwnicy polityczni. A także wrogowie. Klęska wrześniowa dostarczyła satysfakcji wrogom Polski, których nigdy nie brakowało, bo jest to kraj, wbrew temu co ciepło sam o sobie zwykł myśleć, kłopotliwy. Nieustawny, to znaczy ani przyzwoicie, sympatycznie mały, ani wystarczająco duży i ważny stosownie do swoich ambicji, i o samym sobie wyobrażeń.

Polski ambasador w Paryżu Juliusz Łukasiewicz, nie czekając na wojnę, napisał książkę pt. „Polska jest mocarstwem”. Zdaniem Mussoliniego, które chętnie sobie w Warszawie powtarzano – „Polska jest mocarstwem niezależnym”. Niezależnym – to była prawda, jednak czy mocarstwem? Raczej, jak to ktoś określił, „mocarstwem kieszonkowym”. Tylko że Łukasiewicz, jako urzędnik państwowy mógłby się nabawić kłopotów służbowych i towarzyskich. Podobnie jak wszyscy, którzy publicznie wątpili w polską siłę militarną.

Ale jeszcze o Powstaniu: przywołane obchody 50-lecia a już najwyraźniej 60-lecia, zdominowała legenda, która za logiczny skądinąd punkt wyjścia przyjęła stwierdzenie, że skoro Powstanie było, to widocznie, najlepszy dowód, być musiało, co więcej takie, jakim właśnie poczęstowała nas historia. Inaczej mówiąc nie ma tu o czym deliberować. Wystarczy po wojskowemu po prostu pamiętać i czcić. A rozmaite pytania, dociekania, wydziwiania co do przewidywań, przygotowań, decyzji, dowodzenia Powstaniem i jego skutkach z użyciem niesympatycznych słów jak szanse, sens, koszty i to jeszcze ze znakiem zapytania, są bezprzedmiotowe. Nie tylko dlatego, argument nieodparty, że sprawa dotyczy czasu zaprzeszłego, czasu bezpowrotnego. Po prostu grymaszenie na przeszłość nie ma racji bytu, nie może liczyć na większe społeczne powodzenie, kiepsko się sprzedaje, dość mamy bieżących kłopotów, żeby udreczać się przeszłością.

O zwycięstwie legendy zdecydował też szantaż patriotyczny, który patriotyzm wymuszała, kiedy innego sposobu na jego wykrzesanie nie było. Jak się okazało i w wolnej Polsce (a czemuż by nie, skoro należy do zasłużonej tradycji) ma legenda oficjalne, mocne prawo obywatelstwa. Stąd niedawne obchody rocznicowe upłynęły pod rozwiniętymi chorągwiami polityki historycznej, której niejako z natury dobrze służą multimedia, odwołujące się do umasowionej wyobraźni.

2. Ale przecież, tylko spokojnie, bez konserwatywnej hysterii, media same przez się, niejako z góry nie są złem, po prostu należą do dzisiejszego świata (innego świata nie będzie) więc trzeba im dać szansę. Że to na swój sposób możliwe świadczy Muzeum Powstania Warszawskiego (tylko pamiętajmy, że historia Powstania zaczyna się we Wrześniu). Muzeum jest sukcesem. Oczywiście refleksji nie gwarantuje, trzeba ją sobie zapewnić już we własnym zakresie. Przemawia do, przypomina że, czasem nawet zbyt dosłownie.

Opowiadał mi uczestnik Powstania (przedtem w Kedywie), naprawdę bohater, kawaler Virtuti Militari, że po prostu uciekł z Muzeum. Wypłoszył go sugestywnie przywołany grzmot niemieckich butów o bruk. Pamiętał ten odgłos: nie wszyscy weterani lubią wspominać tamte czasy, chociaż byli młodzi, walczyli i przeżyli. Cywile również nie lubią: moja matka zawsze wyłączała telewizor, kiedy rozpoczynała się filmowa strzelanina z lat wojny czy okupacji.

Nawet na Krecie – mimo, że urodził się tam Zeus, mieszkał ogólnie znany potwór Minotaur, inżynier Dedal, twórca labiryntu i jego nieszczęsny syn Ikar, król Minos i perwersyjna królowa Pazyfae z córkami, tragiczną miłośnicą Fedrą i Ariadną, którą na pobliskiej wyspie Naksos opuścił, na rozkaz Dionizosa, dzielny zabójca Minotaura, ateński królewicz Tezeusz, mimo wielu innych bogów, półbogów i bohaterów, et caetera i tak dalej, słowem tego wszystkiego, co razem stanowi naszą europejską własność i mimo że od lat pływamy tam i nurkujemy w międzynarodowym towarzystwie, tańczymy i popijamy schłodzone wino przy akompaniamencie cykad, nie mówiąc już o innych wakacyjnych przyjemnościach – a więc nawet na Krecie ludzie pamiętają o wojnie!

A najstarsi Kreteńczycy, ubrani na czarno, wsparci na kijach z oliwkowego drzewa, jeszcze słyszą, wspominają taki sam jak ten, który wita w progach Muzeum Powstania Warszawskiego, łoskot podkutych niemieckich butów. I pytają, popijając łagodny winogronowy bimberek domowej fabrykacji, przy stolikach nakrytych ceratowym obrusem w kratkę z widokiem na morze albo góry, co to znaczy „Deutschland, Deutschland über alles”, bo niby rozumieją co to znaczy, albo mogą spytać, przecież turyści i letnicy niemieccy są mile, licznie widziani, tylko dlaczego „ponad wszystko”?

Ja najmocniej przeżyłem kolejną rocznicową wizytę w Muzeum, kiedy prosto stamtąd pojechałem na Powązki. I po zwiedzaniu multimedialnej ekspozycji pełnej życia, ruchu, głosów, muzyki, wibracji, wybuchów i komunikatów, usłyszałem brzoźową ciszę, w której bohaterowie poznani w Muzeum, to znaczy tyłu spośród nich, leży pod białymi krzyżami.

A po sąsiedzku, jakżeby inaczej, w swojej kwaterze, rzadziej odwiedzani, bo już niewielu zostało im najbliższych, odpoczywają, śpią snem wiecznym, tak się ładnie mówi, a tak naprawdę obracają się w proch, w niepamięć, żołnierze Września.

No właśnie, Września dużą literą. Znowu mi się samo tak napisało. A gdyby ułożyć jakiś polski kalendarz historyczny, miesiąc po miesiącu, może niejedyn miesiąc, pisany dotąd prawidłowo z małej litery awansowałby ortograficznie do dużej, ewentualnie jeszcze z jakimś towarzyszącym przymiotnikiem. Taki pomysł.

Spróbujmy po kolei. Po prostu Styczeń: to miałyby znaczyć w domyśle Powstanie Styczniowe? Raczej nie, to nie brzmi. Lepiej zostawić, jak jest.

W lutym, tak na wycucie, niewiele się nam wydarzyło. Jedna Olszynka Grochowska pędzła Wojciecha Kossaka jeszcze nie czyni historycznej wiosny. Rewolucja lutowa to nie u nas tylko obok, w Rosji – słowem kalendarzowy odpoczynek.

Ale już marzec, rozumiemy dość jednoznacznie i współcześnie jako Marzec, czyli wydarzenia marcowe 1968 roku.

W kwietniu, jak w marcu, zdarzyła się przedwojenna konstytucja, chociaż całkiem inna. Również przysięga Kościuszki na krakowskim rynku. Chyba mało kto pamięta, że wypadła akurat w kwietniu?

Maj, czyli majowa jutrzeńka, szczególnie „Vivat maj, trzeci maj, dla Polaków błogi raj”, czyli rocznica Konstytucji, tej najślawniejszej majowej, z 1791 roku. Słowem maj, wystarczająco patriotycznie umajony, nie potrzebuje dużej litery.

Natomiast Czerwiec mógłby nawet obyć się bez przymiotnika „poznański 1956”, czy „radomski” (20 lat później). Jeśli z kontekstu wynika, o które wydarzenie chodzi.

Nie się na to nie poradzi, że lipiec, odkąd Manifest PKWN przestał być powodem do świętowania, utracił historyczne znaczenie.

W sierpniu bodaj najwięcej się działo. Bitwa Warszawska 1920 roku. Powstanie Warszawskie: piszę Powstanie dużą literą podobnie jak Wrzesień. A Sierpień, po prostu Sierpień, ewentualnie z przymiotnikiem „Polski”, czyli Polski Sierpień, kojarzy się z Solidarnością.

Wrzesień, podobnie jak wcześniej Marzec i Czerwiec wszedł już tu i ówdzie z dużej litery do potocznej pisowni, a więc ma pewne szanse na oficjalne ortograficzne uznanie.

Podobnie Październik – oczywiście nie ten wielkosocjalistycznorewolucyjny październik Majakowskiego, który „dmuchał jak zawsze wiatrami październik” i w ciągu dziesięciu dni wstrząsnął światem..., tylko nasz lokalny z 1956 r., Polski Październik, jak Polski Sierpień – w końcu nie tylko dla Polski ważny.

Przewracamy następną kartkę. „Listopad dla Polaków niebezpieczna pora”, zwłaszcza wiadomej Nocy Listopadowej, która za sprawą Wyspiańskiego stała się tak ważna również dlatego, że poprzez jej nieobliczalne konsekwencje, czyli klęskę Powstania Listopadowego mogła powstać wielka literatura Wielkiej Emigracji. Również w listopadzie – radosne, bez względu na pogodę, odzyskane listopadowe Święto Niepodległości.

Ale już grudniowi może przydać się zmieniona ortografia. Grudzień, czyli wypadki na Wybrzeżu 1970 r., albo Grudzień jako stan wojenny 1981 r. I gdyby nie Boże Narodzenie, domowe święto obchodzone niezależnie od wiary czy niewiary, można by powiedzieć, że polski kalendarz niewesoło się zamyka.

A więc Marzec, Czerwiec, Sierpień, Wrzesień, Październik i Grudzień. Ponad połowa kalendarza z dużej litery. Są to imiona własne, mówiąc po francusku noms propres. Z wyjątkiem Września, wszystko wydarzyło się po wojnie. Należy do historii najnowszej, to znaczy, moim zdaniem, jeszcze nie do prawdziwej historii. Imiona te są tak blisko, że aby przywołać ich pamięć, wystarczy nazwa któregoś z wymienionych miesięcy.

Ale Wrzesień, niech mu będzie Polski Wrzesień, jest tu najważniejszy. Bo gdyby nie wojna, która we Wrześniu się rozpoczęła, nigdy by się nie wydarzyły wszystkie te polskie miesiące pisane z dużej litery, które należą do naszych dziejów najnowszych. I właśnie z powodu Września takie było, nie żadne inne alternatywne, lepsze czy gorsze, życie polskich pokoleń.

3. Czy istnieje legenda Września? Jak legenda Powstania? Powiedziałbym nawet, że to legenda Powstania pamięć Września usuwa w cień. Bo to więcej niż legenda: legenda przekuta w mit, w prawdę legendy, bo legenda też jest jakąś prawdą. To znaczy z biegiem dni, biegiem lat, prawdą się staje i tryumfuje, bo zdolna jest nawet pokonać świadectwa, zakwestionować dokumenty. Co z tego, że przeciwstawiali się kiedyś legendzie Powstania na przykład generał Władysław Anders, redaktor Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski, ten ostatni nie dość, że pisarz, kompozytor, publicysta, to jeszcze uczestnik Powstania. Podobnie jak nieletni wówczas Jan Ciechanowski, po latach historyk Powstania, czy przyszedł poeta Bolesław Taborski. Ich prawda o Powstaniu rozmija się z legendą. Więc przegrywa z innymi wspomnieniami, które lepiej odpowiadają, przyjętemu za obowiązujące, społecznemu zamówieniu.

Opowiadał mi pewien bohater Powstania, trzykrotnie ranny, cudem ocalony, choć właśnie w Powstaniu stracił wiarę, że nie może dogadać się z kolegami, których pamięcią bez reszty zawładnęła legenda. Dopytywałem się, jak on sam, skoro jego towarzysze broni coraz mniej skłonni są przyznać się do jakiejś słabości, dawał sobie radę z arcyłudzkiem uczuciem strachu. Otóż mój bohater rzeczywiście nie bał się, ale interesujące zastrzeżenie, miał po temu prywatne powody. Po pierwsze wiedział, że na pewno zginie, czyli był spokojny. A poza tym w ogóle brakuje mu (taki defekt) wyobraźni.

Więc, skoro nie bardzo mógł sobie wyobrazić w jaki sposób zginie, nie upierał się przy rozmyślaniach o własnej śmierci. Zresztą okazji do niej miał bez liku, niektóre nawet wspomina ze szczególnym humorem: oto nie sięgnął go miotacz płomieni, wiatr zakręcił w drugą stronę i Niemiec, dobrze mu tak, sam się żywcem spalił.

Nikt z wyżej przywoływanych z imienia posiadaczy gorzkich refleksji o Powstaniu nie był nigdy w życiu komunistą, czy choćby zwolennikiem władzy ludowej, która istotnie w złą wierze, czemu trudno się dziwić, na rozmaite sposoby zwalczała, pomniejszała, fałszowała i prawdę i legendę Powstania. Naprawdę nigdy do końca się z nimi nie pogodziła, broniąc swojego wątpliwego legitymizmu. Słowem: wszyscy pozostali myślący inaczej niż każe legenda, zwolennicy Polski wolnej i niepodległej, ale odporni na mit, muszą trafić między malkontentów, mizantropów i sceptyków, jak ich określił w rocznicowym przemówieniu powszechnie poważany świadek, kronikarz, uczestnik historii, w tym Powstania prof. Władysław Bartoszewski, niezmiennie wierny swoim emocjom sprzed lat sześćdziesięciu.

Pamięć Powstania przyćmiewa pamięć Września, nie tylko dlatego że jest o całych pięć ciężkich lat okupacji młodsza. Po Wrześniu nie została legenda życia i śmierci z pełnymi radości życia właśnie i junackiego humoru skocznymi piosenkami, które śpiewano w Powstaniu. Wrześniowa legenda jest tragiczna, ponieważ bliska prawdy. Prawdziwe wrześniowe świadectwa nie upiększają klęski. Poza kilkoma przykładami nieuleczalnego wojskowego samochwalstwa. I wynoszenia lokalnych, przejściowych sukcesów wysoko ponad ich rzeczywiste znaczenie.

Niepopularne, krępujące słowa-hasła, jak: wina, błąd, lekcja, sąd historii, czy mówiąc zwyczajniej, historyczna recenzja potomnych, mają na przykładzie Września większe szanse, niż wobec Powstania. Które wciąż bywa traktowane namiętnie, osobiście, a także politycznie, nawet komercyjnie. Co w sumie nie sprzyja refleksjom ani ocenom. Oczywiście, są to wszystko nadobowiązkowe roztrząsania, luksusowe wzruszenia, dostępne dla ludzi, którzy chcą widzieć coś poza swoim wydłużonym przez kryzys nosem. Którym pamięć historyczna (byłe nie polityka, czyli historyczna propaganda), jest do czegoś pomocna. Na przykład do poukładania sobie relacji z naszą teraźniejszością, do krytycznego jej zrozumienia.

No, powiedzmy może mniej ambitnie, że niedawna przeszłość po prostu zaciekawia. To już byłoby coś. I emocjonuje. To nawet bardzo wiele, byle nie wpadać w toksyczne emocje i nie ułatwiać sobie sprawy, zwalając całą odpowiedzialność za polskie katastrofy na złe, obce, zewnętrzne moce. Na przekłete, geopolityczne przeznaczenie. Wrogów Polsce nie brakuje i nigdy nie brakowało, choć chętnie dziwiliśmy się temu, przekonani o swojej niewinności. A wrogowie, jak na nich przystało, intencje też mieli wrogie i siły często wielokrotnie potężniejsze. I rozbiorowa tradycja z końca XVIII wieku, kiedy to trzy drapieżne orły czy sępy rozdziobały Rzeczpospolitą na części, powtórzyła się siedemdziesiąt lat temu w demonicznej odmianie. Tym razem malownicze ptaszyska zostały zastąpione przez uproszczone graficznie symbole. Niby jakieś narzędzia tortur: swastykę oraz sierp i młot. Zaborców było tylko dwóch, ale, można by powiedzieć, nowej, nieznannej dotąd generacji. Zaczęli od podboju Polski, a mieli zamiar podbić i zmienić cały świat. Ale każdy na swój nieludzki obraz i podobieństwo. Więc tylko co do zguby Polski, na zgubę Polski jakoś potrafili się, do czasu, porozumieć.

We Wrześniu, jak później w Powstaniu, nikt nam naprawdę nie pomógł. Chociaż we Wrześniu mieliśmy zobowiązanych własnoręcznymi podpisami, układami sojuszników. Z kolei w Powstaniu trudno było się pogodzić

z dwuznaczną sytuacją. Bo znikąd pomocy, a do tego główny sojusznik naszych od pięciu już lat sojuszników ociąga się z pomocą, mając inne co do nas plany, więcej, wszelką pomoc właściwie uniemożliwia. Jak mógł i jak śmiał? A czego można było się po nim spodziewać? Przecież pięć lat wcześniej, we Wrześniu, napadł na Polskę.

Tym razem zaczął aż Niemcy rozprawią się z Powstaniem. I nie został za to przez wolny świat potępiony, bo doraźnie byłoby to niewygodne, a potem, z czasem, czemu nie, jak najbardziej, tym bardziej, że nie ma to już praktycznego znaczenia.

Zło ma to do siebie, że nigdy samo nie uderzy się w piersi, inaczej nie byłoby złem, prawda? Co gorsza, jak tłumaczy nasze judeochrześcijaństwo, zło jest potrzebne światu, historii, człowiekowi. Moralnie. Żeby człowiek potrafił zło od dobra odróżnić. Poza tym trudno jest, jak ewangelicznie chciał Jan Paweł II, zło dobrem zwyciężać. Łatwiej, skuteczniej zło złem. W ostatniej wojnie światowej stalinowskie zło odegrało właśnie główną rolę w pokonaniu zła hitlerowskiego. Czy istniał dobry wybór między Stalinem i Hitlerem? Niektórzy się zastanawiali, który większym, który mniejszym złem. Hitler czy Stalin? Stalin czy Hitler? Jeden zbrodniarz i drugi zbrodniarz. Każdy inny. Jeden gorszy od drugiego. Ale w końcu który gorszy? Wiele przy odpowiedzi zależało od wojennych losów pytanego. Ale czy w ogóle był sens ich porównywać? Powiedzmy, że chociaż byli to śmiertelni wrogowie – uzupełniali się. Może nawet chwilami w duchu podziwiali? W każdym razie po podpisaniu Paktu Ribbentrop- Mołotow, 24 sierpnia 1939 r., Stalin wzniósł toast nie tylko za wznowioną współpracę niemiecko-radziecką, ale też osobiście za zdrowie Hitlera. Ten ostatni nie był tak wylewny, niemniej jednak w Polsce, we wrześniu 1939 r. doszło między nimi prawie na dwa lata do owocnej współpracy.

Hitlerowcy przeprowadzili akcję A-B, zaawansowaną próbę fizycznej likwidacji polskiej inteligencji, lokalnych elit w zachodnich województwach, przesiedlali kogo chcieli do Generalnej Guberni. Niepodpisanie volkslisty, jeśli miało się taką możliwość, groziło ciężkimi konsekwencjami.

W państwie Józefa Stalina dokonano wielkich wywózek Polaków na Sybir, zmuszano do przyjmowania radzieckiego obywatelstwa, w masowych rozstrzeliwaniach ginęli polscy oficerowie. Czy była jakaś wymiana doświadczeń, wzajemne uzgodnienia? Wiadomo tylko, że wysocy rangą funkcjonariusze Gestapo i NKWD spotkali się na przełomie 1939 i 1940 roku w Zakopanem.

W każdym razie lojalni wobec siebie przez prawie dwa lata partnerzy, nie tylko w sprawie rozwiązywania problemu polskiego, obdarzali siebie pewnym, ograniczonym z natury rzeczą, zaufaniem. Niemcy dość hojnie dzielili się, oczywiście w sposób przemyślany, osiągnięciami swojej techniki wojskowej, strona radziecka rewanżowała się barterowo, surowcami i żywnością.

4. Do jakiego stopnia pytania o szanse, a w związku z tym o koszty Powstania, które zadawali sobie malkontenci, mizantropi i sceptycy, niektórzy wymienieni tu z imienia i nazwiska, mają sens wobec Września? Dotykamy sprawy rewizjonizmu historycznego, dla którego wszystko jest możliwe. Alternatywa bywa bardziej przekonująca niż wydarzenia, które faktycznie miały miejsce, a dzisiejsza wszechwiedza pozwala bez skrępowania wyrokować o przeszłości. Wiele pytań, kiedy myślimy o Powstaniu i Wrześniu, będzie się powtarzało. Stąd przypominę sobie trochę wrażeń z rocznicowych spotkań, których tematem była, jakby to zarozumiale nie brzmiało, ocena Powstania.

Gdzieś około 50. rocznicy Powstania zaproszony do telewizji słowami: „Bo pan jest przeciw powstaniu”, znalazłem się w dyskusyjnej mniejszości. Żeby „co było do okazania” (przypomina się CBDO ze szkolnych zeszytów), okazało się że niby tragedia, niby klęska, a tak naprawdę – Victoria. Patriotyczna, w każdym razie. Jak wiadomo, wszelkie znaki zapytania, trzykropki, tryb warunkowy, zdania złożone podrzędnie nie sprawdzają się w telewizyjnej gramatyce. Raczej zdecydowane pojedyncze kropki, a najlepiej wykrzykniki. Powiedzmy, że powoływałem się na liczbę ok. 200 tys. ofiar Powstania. Jakie około? Najwyżej 180 tysięcy – prostuje mój kompetentny antagonist, który więcej (naprawdę wiele) wie, mniej rozumie. I już leci na ekranie następne pytanie. Albo innym razem, historyk-polityk, czy raczej od pewnego czasu polityk-historyk, w każdym razie profesor nieustający, po prostu stwierdza, że to dzięki Powstaniu nasz kraj nie zasilił wielkiej rodziny Republiki Radzieckich jako kolejna spośród nich siedemnasta. I nie ma cierpliwego antenowego czasu, żeby tłumaczyć, że Powstanie ma tu niewiele do rzeczy. Polska walczyła na wszystkich frontach, powstawała przeciw Niemcom, i co z tego. Węgry czy Rumunia walczyły u boku Hitlera. Czechosłowacja miała dwa powstania, krótkie praskie i poważne słowackie. Bułgaria trzymała się z boku. A jak określić wojenną przeszłość NRD? Ale wszyscy otrzymali podobny satelicki status. Kraju Demokracji Ludowej. Oczywiście każde z tych państw miało inny stopień zniewolenia, zależności od moskiewskiej centrali. Inną, również przez wojenne doświadczenia powojenną historię, narodową specyfikę. Jedno pewne: Stalin, to Stalin zdecydował o równoległym, dość elastycznym dla wszystkich modelu stopniowanej sowietyzacji, powolnego trawienia. Ale umarł. A co było potem, to już inna skomplikowana historia.

No właśnie. Skomplikowana, ale jak tu się przebić ze znakami zapytania? Z pytaniami, czy może rozczarowani klęską Powstania i tym, że Zachód nie pomógł, Zachód przede wszystkim, bo od Armii Czerwonej jakby mniej się wymagało. Że zniszczenie Warszawy, a potem jej odbudowanie ułatwiły jednak pogodzenie się społeczeństwa z nową, niechcianą władzą? Albo jak przekonywająco zaprzeczyć Normanowi Daviesowi, który napisał, że straty niemieckie i powstańcze (żołnierskie) w zabitych były porównywalne. To tak dobrze, budująco brzmi, chociaż naprawdę, znowu podobnie jak we Wrześniu, zginęło Polaków z bronią w ręku, nie licząc ludności cywilnej, wielokrotnie więcej niż wrogów. I inaczej być nie mogło wobec niemieckiej przewagi technicznej i logistycznej. Czy we Wrześniu, czy w Powstaniu. A słusznej sprawy wyższość moralna oraz bohaterstwo, nie mogły żadną miarą takiej przewagi zniwelować.

„Na żywo”, czyli w sytuacjach kiedy przed widownią nie chroni telewizyjne szkło, bywało mocno nieprzyjemnie. Kiedyś sam Jan Nowak Jeziorański uczynił mi zaszczyt mianując partnerem do dyskusji o Powstaniu, dyskusji publicznej dla Polskiego Radia w salach Muzeum Historycznego na Starym Mieście. Ale kiedy zacząłem, taka moja rola, utyskiwać na fatalne uzbrojenie, złe dowodzenie, polityczną naiwność, szafowanie w Powstaniu najlepszą krwią, słowem szukając dziury na całym upiększonym obrazie Powstania, krzypcy jeszcze (było to kilkanaście lat temu) kombatanci zaczęli powstawać z krzesel. Stała mi wówczas scena z Potopu, kiedy Butrymowie brali się za Kmicicową kompanię. Tyle, że tam podnosili się z ciężkich, nie dla Butrymów ław. Ale odgłos był zbliżony, przesławne, groźne „rum rum” i sam Kurier z Warszawy musiał zapobiec nieobliczalnej awanturze, przyznając mi prawo do wyrażania własnej opinii.

A potem podzieliłem się z Nowakiem-Jeziorańskim tym literackim skojarzeniem, jako że obaj kochamy Sienkiewicza.

Innym razem szczęśliwy, bo ocalał w dobrym zdrowiu i z dobrą pamięcią bohater Powstania, odpowiedział na moje narzekania, że o Powstaniu nie powinni wypowiadać się ci, którzy nie brali w nim udziału.

Ale ja przepraszam, czy to znaczy, że Powstanie ma być wyłączną własnością jego przedostatnich już weteranów? A co na to wszyscy nie-weterani? Których jest coraz więcej, bo wciąż rodzą się tak zwane nowe pokolenia, dla których przyszłości, tak się mówi, podjęto powstańczą walkę? Czy ci obdarowani pamięcią Powstania nie mają prawa do większej dociekliwości, zadawania pytań? A gdyby ktoś zaproponował odwrotnie, na przekór, że to właśnie akurat może kombatanci nie powinni zabierać głosu we własnej sprawie, tylko

spokojnie, pozostając przy swoim, wysłuchać jak też Powstanie postrzegane jest z dystansu? Ponieważ ich emocje, oceny, oparte na wspomnieniach będą zawsze subiektywne i powiedzmy sobie otwarcie: biologia zaciemnia, czy raczej nadmiernie rozjaśnia perspektywę.

Bywa też odwrotnie: nie brakuje młodych, czy średnio-młodych miłośników wojen i entuzjastów powstań w różowych technicolorach, którym nie pasują jakieś pesymistyczne wspomnienia. Oczywiście, niczego podobnego nie wypada głośno powiedzieć, a poza tym między uczestnikiem czy naocznym świadkiem historii z jednej, a krytycznym badaczem źródeł z drugiej strony toczą się klasyczne spory, czasami mocno nieprzyjemne. Ktoś pamięta wyraźnie i wydaje mu się, że działo się to wczoraj. Skąd strzelał, z jakiej broni, o której godzinie, czy już padało, czy jeszcze świeciło słońce, pod którym dowództwem, czy chciało mu się raczej pić czy spać, gdzie stali Niemcy, gdzie nasi, kto się sprawdził, kto załamał. Tymczasem rozmaite relacje się nie zgadzają, z dokumentów też wynika inaczej. Ale one również mogą się mylić.

I oto młody historyk, krępująca sytuacja, poucza weterana, kiedy tamtego zawiodła pamięć, gdzie pomylił się, w którym momencie dopuścił się błędu, jak zachował się naprawdę, a jak powinien był. I oto w psychice kombatantów, którzy ryzykowali bezinteresownie, dla patriotycznej idei, w miarę upływu lat pogłębiają się roszczenia. Rodzą się pretensje do podziwu, posłuchu, oraz poczucie wyższości. To zrozumiałe, i co mogłem odpowiedzieć starszemu panu z rozetką Virtuti w klapie niemodnej marynarki, kiedy publicznie huknął na mnie, że wymyślam bzdury na temat porażki Powstania, podczas gdy on pamięta te chwile, kiedy nad Warszawą załopotą białą-czerwoną flagą. I tej chwili nie zapomni aż do śmierci. Na szczęście we własnym łóżku. A nie zasypany pod gruzami, rozerwany na strzępy, ranny i spalony żywcem, ustrzelony przez gołębiarza. Można by tak dalej wyliczać, tylko po co.

Ale najgorzej było, przykra niespodzianka, podczas spotkania w mieście Kędzierzyn-Koźle, daleko od Warszawy. Tam, na Dolnym Śląsku, spodziewając się krytyki Powstania, dla równowagi i sprawiedliwości zaokrągląłem refleksje, wystrzegając się wszelkiego dyskusyjnego ryzyka. Co jednak nie wystarczyło, przeciwnie, jeszcze rozeźliło radykalnych słuchaczy z rodzin kresowych, jak się okazało. Więc zostałem nawet przez miłą panią, która prowadziła spotkanie, oskarżony o z gruntu polskiemu duchowi obcą kupiecką mentalność. Że niby co się w historii kalkuluje, jakie są koszty zrywu patriotycznego, które ponoszą przecież nie tylko jego bohaterowie, również osoby towarzyszące oraz przypadkowe. I tak jest słusznie, powiedziano mi, było tak zawsze i tak ma być.

W podobnych sytuacjach czułem duchowe wsparcie wielkich Mizantropów, Malkontentów i Sceptyków, ale wiadomo, że im wolno więcej, wolno wszystko, a zresztą kto tam dokładnie wie, że mieli jakieś odmienne zdanie, nieważne, skoro wygrywa legenda. I nie tłumaczy mnie wcale data urodzenia: jako parolatek mógłbym przynajmniej kibicować trochę tylko starszemu Antkowi Rozpylaczowi. Niby nie moja wina, bo czy ode mnie zależało, że wojnę spędziłem u rodzzonego dziadka na rzeszowsko-tarnowskiej wsi. Ale wobec tego mógłbym przynajmniej powstrzymać się od zabierania głosu w sprawie Powstania. Tym bardziej, że nikt z mojej galicyjskiej rodziny w Powstaniu nie walczył.

5. Co innego we Wrześniu 1939 r. Mój ojciec, oficer rezerwy, dostał Krzyż Walecznych za Kampanię Wrześniową. Tym cenniejszy, że przyznały go emigracyjne władze w Londynie. Mimo że on sam mocno naraził się emigracji, powojennym zaangażowaniem w krajową rzeczywistość i mało tego, namawiał emigrantów do powrotu. „Co my z panem, Panie Konstanty, zrobimy – powiedział mu podobno generał Anders – przecież Pan jest porządnym człowiekiem”. Krótko przed śmiercią ojciec napisał i wydał „Kartki z wojny”, które rozpoczynały się właśnie w 1939 r. Szczerze, a więc prawdziwie, na ile było to możliwe w warunkach cenzuralnych, przedstawił co go we Wrześniu spotkało i, dla mnie to najważniejsze bo źródłowe, jak o tym myślał wówczas, a nie dopiero po latach wojny, okupacji i Polski Ludowej.

Poza tym w ówczesnym MSZ pracowało trzech jego krewnych.

Michał Łubieński, Dyrektor Gabinetu ministra Becka, był tegoż codziennym współpracownikiem. Pozostawił po sobie maszynopis zatytułowany „Refleksje i reminiscencje”, pisany w końcu 1940 i w 1941 roku w polskiej komendzie miasta Perth (Szkocja). Prócz przenikliwych uwag na temat przedwojennego państwa znajdziemy tam świadectwo człowieka, który towarzyszył Beckowi w ważnych podróżach dyplomatycznych oraz był uczestnikiem doniosłych spotkań i narad.

Ludwik Łubieński został w 1939 roku jednym z sekretarzy Becka. Podczas wojny był adiutantem Andersa, po wojnie pracował w Radiu Wolna Europa.

Aleksander Łubieński, był Dyrektorem Protokołu Dyplomatycznego. Według innych źródeł tylko pełniącym obowiązki przypisane do tego stanowiska, przedtem attache wojskowym w Helsinkach i w Paryżu. Nic o nim nie wiem, ale poseł francuski w Warszawie Jean Laroche sporządził na prośbę premiera Brianda poufną charakterystykę tego dyplomaty: „Kapitan Łubieński sprawia wrażenie bardzo inteligentnego człowieka... Jak sądzę, nie zaniedba niczego, aby wywrzeć pozytywne wrażenie na osobach, z którymi będzie w kontakcie. Nie uważam jednak, aby te cechy miały wpływać na okazywanie mu zupełnego zaufania (przynajmniej do czasu uzyskania pełniejszych informacji)... Był oficer carski – jest sympatyczny, miły, inteligentny i subtelny. Mimo że utrzymujemy z nim serdeczne stosunki, to wydaje mi się, iż nie należy sobie robić wielkich złudzeń. Z punktu widzenia jego uczuć wobec Francji, nie uważam go za absolutnie pewnego... Jest oportunistą i obecnie gra kartą Marszałka”.

Jak na stosunki między sojusznikami, raport nie sprawia dobrego wrażenia. I takie też były wzajemne przedwojenne relacje między Francją i Polską. Polska w osobie ministra Becka robiła Francji na złość. Francja traktowała Polskę protekcyjnie, rozdrażniona z powodu swojego słabnącego w Europie autorytetu. Rzeczywiście istniała groźba, że Francja zagwarantuje sobie pokój i granice z Niemcami, pozostawiając otwartą sprawę niemieckich roszczeń na Wschodzie, to znaczy wobec Polski. Ale Beck zwalczał również antyniemieckich polityków związanych z Francją: Titulescu w Rumunii i Benesza. Ten ostatni istotnie był Polsce nieprzyjazny, ale swoją drogą nie uczyniono nic, aby zmienić to nastawienie. Przeciwnie, zdaje się że wrogość i lekceważenie Czechosłowacji były stałym elementem polskiej polityki zagranicznej. Drażniły też Polskę francuskie sympatie i zabiegi niegdyś wokół Rosji, aktualnie wobec Związku Radzieckiego. W tym tradycyjna polska zazdrość o to, kto jest na środkowym wschodzie Europy głównym Francji przyjacielem.

A zatem w rozpamiętywaniu Września czuję się pewniej. A klasyczne pytanie, czy mieliśmy we Wrześniu bić się, czy nie bić z Hitlerem, też zasługuje na zastanowienie. W ogóle jest to trudne jako trawestacja, na historyczny polski użytek, nierozstrzygniętego egzystencjalnego „być albo nie być”. Które bez powodzenia, ale jednak roztrząsał pewien młody książę duński. Podobnie w wersji polskiej nie ma dobrej odpowiedzi na „bić się czy nie bić” w sytuacji, kiedy słuszność jest po naszej stronie, ale mamy gwarantowane raczej tylko zwycięstwo moralne. Natomiast zwycięstwo po prostu, zwycięstwo tout court okaże się doraźną tylko nadzieją, długo się nie spełniająca. Zadawałem sobie to pytanie pisząc o powstaniach polskich dziewiętnastego wieku. Kolejno przegrywanych i znowu powtarzających się z podobnymi błędami i złudzeniami. Również o Powstaniu Warszawskim. Które było tamtych powstań ostateczną, oby ostatnią konsekwencją. Desperackim, tak uważam, zwieńczeniem. W kontekście Września pytanie „bić się czy nie bić” brzmi jeszcze inaczej. Nie było we Wrześniu żadnego powstania, istniało Państwo Polskie, wojsko polskie, nasza duma. Żadnych butelek z benzyną, broni rzutowej, zdobyczej, czy domowej roboty, tylko lepsze czy gorsze, oryginalne albo zakupione, ale już polskie czołgi, działa, samoloty i okręty. Piechota i kawaleria lekko zmotoryzowana, lotnictwo i marynarka tak pięknie się rozwijające. Społeczeństwo zostało włączone w te przygotowania. Szkoły, zrzeszenia kupców, gminy żydowskie składały się na uzbrojenie, które podczas podniosłych uroczystości przekazywano wojsku. Latem 1939 roku

masowo kopano rowy, przeciągano druty kolczaste. Dozorcy gromadzili piasek i wodę do gaszenia pożarów. Zaklejano szyby paskami papieru, spodziewając się bombardowań. Na Placu Piłsudskiego w Warszawie można było się zapisać na żywe torpedy, według mody, która przysłała z Japonii. W Krakowie pewien hotel udekorował fasadę lufami armatnimi z tektury.

6. A zatem, czy można było ustąpić Hitlerowi? Przeciwwstawiono mu się wiadomo z jakim skutkiem, więc pytanie powraca tylko teoretyczne, czy nie należało, zamiast liczyć na odsiecz i przeceniać własne siły, raczej cofnąć się, poczekać do lepszej okazji. Czy jednak, tak jak się stało, walczyć bez względu na cenę, którą przyjdzie zapłacić.

Pytań o Wrzesień jest znacznie więcej, niż o Powstanie. Czy ówczesny rząd sanacyjny jest winny wrześniowej klęski?

Inaczej mówiąc, czy ponosi za nią odpowiedzialność, skoro nie chciał jej z nikim dzielić?

Czy się skompromitował? No, tak to wygląda. Niestety.

Czy wobec tego, opozycja miała prawo bezwzględnie, czasem nawet brutalnie rozliczać się z sanacją w chwili klęski narodowej, wykorzystać moment załamania państwa dla przejścia władzy, eliminować ludzi z rządzącego przed wrześniem obozu, również tych którzy oddawali się nowemu polskiemu rządowi do dyspozycji?

Chyba nie było innego wyjścia.

A czy należało wypowiedzieć wojnę Związkowi Radzieckiemu, skoro Armia Czerwona 17 września przekroczyła naszą wschodnią granicę? Istnieje teoria, że wówczas oficerowie więzieni w Katyniu i innych obozach mieliby jasny status jeńców wojennych. A jednak wydaje się, że prawnicy stalinowskich służb bezpieczeństwa uporaliby się z tym problemem, skoro zapadła polityczna decyzja: „rozstrzelać”. Poza tym represje wobec obywateli wrogiego państwa mogły być jeszcze bardziej rozległe i ciężkie, a i tak niewiele im brakowało. Dokonywano przecież masowych aresztowań i wywózek.

Ale przyszło mi zmierzyć się z tym głównym pytaniem, tzn. czy należało bić się czy nie bić z Hitlerem, jeszcze dawno dawno temu, jeszcze w poprzedniej epoce, przed czerwcem 1989 roku, a prawie pół wieku po Wrześniu. Przy czym pytanie padło w agresywnej, spersonalizowanej formie. No proszę się przyznać, czy Pan, krytykując tutaj nasze powstania, nawet warszawskie, nie skapitulowałby przed Hitlerem? To co, może należało w ogóle poddać się Hitlerowi, skoro był o tyle silniejszy?

A więc obie daty 1939 i 1944, Wrzesień i Powstanie, uzyskały wspólny mianownik.

Pytał student zapewne, pod koniec dyskusji na temat Powstania właśnie. W słynnej krakowskiej „Beczce” u dominikanów, prowadzonej przez ojca Andrzeja Kłoczowskiego OP. Duszpasterza akademickiego, który w trudnych latach 80. przywracał młodym ludziom wiarę w sens aktywnego życia tutaj. „Beczka” znaczyła wówczas bardzo wiele, nieporównanie więcej niż zwykły klub dyskusyjny, była nieformalnym środowiskiem rozgrzanej umysłowo młodzieży, ambitnie walczącej z chorobami tamtych lat, tzn. marazmem i frustracją. I wchodząc do „Beczki”, czyli na salę o beczkowatym kształcie, do byłego klasztornego refektarza, pełnego pięknych dziewczyn i odważnych chłopców (te rozchylone usta, gniewne spojrzenia) czułem, że wszyscy albo prawie są przeciw mnie, czterdziestoparoletniemu wówczas malkontentowi, sceptykowi i mizantropowi, chociaż wcale tak o sobie nie myślałem, nie znałem zresztą tej wyliczanki.

Ja, prelegent, z Warszawy, co prawda w pierwszym pokoleniu, ale już zarażony konformizmem, czyli determinizmem historycznym – a tymczasem na miejscu w Krakowie, tym najbardziej tradycyjnym z polskich miast i to w wersji mieszczańskiej, nigdy nie brakowało radykalnej młodzieży. A w „Beczce” zbierała się ta dobra, radykalna młodzież. Jeszcze w czasie rozbiorów, Galicja (Lwów i Kraków) była Piemontem nie tylko kulturalnym. I to jeszcze na długo przed czynem legionowym. Akurat jadąc na spotkanie, czytałem piękne dziewiętnastowieczne wspomnienia obywateli Krakowa, którzy jako kilkunastoletni chłopcy uciekli do powstania styczniowego. A gdy spotkała ich rosyjska niewola, młodociany wiek, naiwna odwaga budziły, chyba w drodze wyjątku, kozacką litość. Zatem wrócili do Krakowa i być może również ich potomkowie tłoczyli się w „Beczce”. Dość, że panował tam klimat dyskusyjno-insurekcyjny, a w tym klimacie pytanie z Hitlerem w tle brzmiało właściwie retorycznie, prowokacyjnie. Żeby w końcu się samookreślił, przestał kręcić w denerwujący sposób. Więc odpowiedziałem jak trzeba. Odruchowo i bojowo. Prawdę mówiąc, w tamtej atmosferze nie miałem wyboru. A poza tym któżby nie chciał, raz na jakiś czas przynajmniej, spodobać się młodzieży. Być może pomagała mi również dyskusyjna rutyna: nie próbować rozmów na niebezpiecznych przykładach. No bo Hitler! Sama myśl o jakichś ustępstwach wobec Hitlera wydaje się niedopuszczalna. Więc ja również zadeklarowałem stanowcze „nie” wobec jego bezczelnych żądań. I zostałem chyba pierwszy raz podczas spotkania nagrodzony brawami.

A może, jak to się stało w tym wypadku, czasem najtrafniejsza bywa pierwsza, instynktowna, niechby nawet trochę wymuszona ogólną atmosferą reakcja. Bo dzisiaj po latach utwierdziłem się racjonalnie w przekonaniu, że minister Beck, jakim by nie był ministrem, jako pierwszy w Europie czyli na świecie polityk, stawiając się Hitlerowi w imieniu Polski i swoim własnym, miał rację.

A pewności tej nabrałem, kiedy całkiem niedawno rozmnożyły się glosy na różne sposoby powątpiewające w słuszość owej zaskakującej zmiany linii politycznej polskiego ministra spraw zagranicznych, byłego podpułkownika artylerii konnej.

Bo czego tak na dobrą sprawę, zastanawiają się rewidenci historii, domagał się Hitler. W sumie niby nie tak wiele. Włączenia Gdańska do Rzeszy, czyli uznania niemieckości tego miasta, które akurat wówczas było jednym z najgorliwiej niemieckich, a nawet hitlerowskich miast. A więc potwierdzenia stanu faktycznego, choć zrozumiałe, że ani ten stan, ani ten fakt Polsce się nie podobał. Co do korytarza – stara sprawa, niemieccy politycy Treviranus czy Stresseman publicznie u siebie i przy wszelkich międzynarodowych okazjach podejmowali temat korytarza jako krzyczącą niemiecką krzywdę. Oto ten polski korytarz w sposób nienaturalny rozdziela Prusy Wschodnie od pozostałej ojczyzny. I Zachód współczuł, rozumiał te pretensje, a brytyjski premier Chamberlain już w 1925 r. stwierdził, że polski korytarz nie jest wart życia jednego brytyjskiego grenadiera.

I rzeczywiście dopiero polsko-niemiecki pakt o nieagresji, zawarty z Hitlerem w 1934 r., oznaczał przynajmniej zawieszenie na kilka lat spornych kwestii. Przez owych kilka lat Hitler cierpliwie nie podnosi gdańskich ani pomorskich problemów. Nawet w 1939 r., kiedy stosunki już są bardzo złe, czego zażąda prócz Gdańska, który całym sercem do niego należy? Eksterytorialnej szosy i linii kolejowej w poprzek korytarza. Logicznego ułatwienia niemieckiej komunikacji ze względów ludzkich i gospodarczych. A tym samym potwierdzenia istnienia korytarza. I być może sprawę dałoby się uregulować za pośrednictwem kilku bezkolizyjnych wiaduktów, przy której to okazji pełna polskiej fantazji myśl techniczna miałaby okazję dopełnić się z niemiecką akuratnością.

To prawda: żądania niemieckie zostały wypowiedziane w końcu kwietnia 1939 w ostry sposób. Ale dopiero wówczas gdy poufna i grzeczna, można powiedzieć bezpośrednia (bo brało w niej udział w sumie 7 osób) rozmowa Hitlera z Beckiem w Berchtesgaden oraz pojednawcze wysiłki Göringa nie przyniosły żadnego efektu. Można było jednak zrozumieć przywódców Trzeciej Rzeszy, a pamiętajmy, że nie byli to gentlemani. Oto Polska, która wydawała się zainteresowana współpracą z Niemcami na zasadzie wzajemnego zrozumienia dla obopólnych interesów, a najlepiej rzeczywiście cudzym kosztem, jak to miało miejsce przy upokarzaniu i rozbiórce Czechosłowacji, umacnianiu, odnawianiu sojuszu z Francją, zawieraniu z Anglią, czyli państwami, które zrobiły się w stosunku dla nowych Niemiec nieprzyjazne. A przecież państwa te nie pod żadnym przymusem, tylko z własnej woli i kalkulacji przyjęły do wiadomości, właściwie uznały kolejne sukcesy Hitlera. Remilitaryzację Nadrenii, Anschluss, zagarnięcie Sudetów, zajęcie Klajpedy jako odwiecznie niemieckiego Memla, podbój Czech i Moraw, a wszystko osiągnięte sztuką dyplomatyczną, czyli bez wojny. Politycy państw zachodnich bardzo późno zrobili się wrażliwi na opinię publiczną, której się nie podobały wewnętrzne sprawy niemieckie. A wcześniej pokój międzynarodowy, pokój, na który po doświadczeniu I wojny światowej nie było prawie ceny, dla społeczeństw zachodnich oraz ich przedstawicieli stanął na pierwszym miejscu.

Polska prasa tylko częściowo ubolewała nad tym co dzieje się w Niemczech. Natomiast minister Beck dostrzegł w mieszanu się do cudzych spraw niepokojący syndrom „wojen religijnych”. Zwierzył się swojemu biografiiście Konradowi Wrzosowi, że „Europa wolała obrażać się na Hitlera, niż się z nim łożyć”. Ale tu Beck nie miał racji. Europa układała się z Hitlerem, choć od początku nie miała o Trzeciej Rzeszy dobrego mniemania. Natomiast uwaga polskiego ministra, wypowiedziana na forum Ligi Narodów, z pewnością podobała się Niemcom. Aby sąsiedzi Niemiec, czy jakieś międzynarodowe organizacje nie przejmowały się zbyt na przykład losem niemieckich Żydów, losem, który w majestacie prawa regulowały ustawy norymberskie. A także obywatelskie inicjatywy, czy rozporządzenia lokalnych władz. Częściowo tylko inspirowane, ale bez formalnej biurokracji, przez państwo.

Wewnętrzna sprawa Niemiec była też na pewno krwawa rozprawa Hitlera z brutalnym i nieobliczalnym Ernstem Röhmem, w czym niektórzy obserwatorzy chcieli się dopatrzeć zwycięstwa nazizmu umiarkowanego. Co prawda, przy okazji zamordowano przeciwników Hitlera z innych ugrupowań, ale znalazł się wśród nich również wpływowy, a bardzo Polsce nieprzyjazny generał von Schleicher. Słowem Nowe Niemcy robiły u siebie porządki po swojemu i wygodniej było Europie myśleć, że jej to nie dotyczy. Przyjmowano do wiadomości pokojowe deklaracje Hitlera z nadzieją, że prześwitujące w nich gdzieś groźby nie przekreślają pojednawczej intencji. Politycy europejscy musieli przyznać Hitlerowi polityczną skuteczność, najwidoczniej wrodzoną, skoro jedyną szkołą, z którą miał do czynienia i to negatywnie, była Wiedeńska Akademia Sztuk Pięknych. A więc talent, który zawsze budzi respekt rutyniarzy.

Narodowosocjalistyczna rewolucja była w tym rozumieniu sprawą czysto niemiecką, nie eksportową i tym jej nacjonalistycznym ograniczeniem pocieszał się nawet światły polski liberalny dziennikarz Antoni Sobański,

miłośnik niemieckiej cywilizacji i kultury, którego przerażał nazistowski antysemityzm, palenie książek, partyjne wiece i defilady.

Ale najwięcej inicjatywy w obronie pokoju przejawiał właśnie Hitler. Na otwarciu berlińskiej olimpiady wypuszczono w powietrze 20 tysięcy białych gołębi, które od dawien dawna były symbolem pokoju: Picasso nic tu oryginalnego nie wymyślił, po prostu narysował, już po wojnie, swojego wdzięcznego gołąbka. Walka o pokój, dla której trzeba było czasem pogrozić wojną, to zresztą ulubiona technika geopolityczna państw totalitarnych, osobiście dyktatorów. Przecież Stalin i jego satelici zaraz po wojnie zajmowali się walką o pokój, prowadząc zimną wojnę ze znacznym międzynarodowym powodzeniem. Co do mieszania się w sprawy wewnętrzne, przeciw czemu Beck występował w imieniu Polski, wszelkie władze, którym demokracja sprawia kłopoty, bardzo tego nie lubią. Dla Polski drażliwy problem mniejszości narodowych, raz po raz wywlekany na posiedzeniu Ligi Narodów stanowił również sprawę wewnętrzną. Owe mniejszości, prawie 1/3 polskich obywateli, nie zawsze były lojalne, jak również często źle traktowane. Skargi podnosiła głównie mniejszość niemiecka. I dopiero Hitler, póki prowadził z Polską swoją grę, czyli do czasu, potrafił wyciszyć te głosy. Właśnie w tym okresie pokojowego sąsiedztwa, jeden z przywódców mniejszości niemieckiej, Wiesner, nazwał Hitlera najbardziej oddanym i bezinteresownym przyjacielem narodu polskiego. A w wielu lokalach niemieckiej organizacji, obok portretu kanclerza Hitlera, wisiał portret marszałka Piłsudskiego.

Prowadząc ze wszech miar korzystną dla Trzeciej Rzeszy politykę obrony pokoju, musiał Hitler na ów czas rozmów i rokowań przeplatanych szantażami zapomnieć o swoich prawdziwych przekonaniach, które wyraził najpełniej w „Mein Kampf”. Ta pozycja powinna była dać wielu ludziom pobłażliwie śledzącym wydarzenia za naszą zachodnią granicą wiele do myślenia. Mówił tam Hitler, bez zbędnej hipokryzji, co naprawdę myśli i jaki los gotuje Słowianom po niemieckim zwycięstwie. Tymczasem przez parę lat musiał wdziewać owczą skórę. Mógł być sobą na parteitagach, czy w gronie zaufanych współpracowników. Ale na zewnątrz musiał sprawiać wrażenie obliczalnego reprezentanta zawsze przecież liczącej się w Europie niemieckiej racji stanu, wyraziciela aspiracji wielkiego europejskiego narodu, który zapewne przesadza z nienawiścią do Żydów, chociaż antysemityzm na starym kontynencie był całkiem popularny. Ale za to deklarował się Hitler jako przysięgły wróg komunizmu, którego wszyscy się bali. Z tego co wiadomo o cyklofrenicznej psychice Hitlera, to udawanie, przebieranie się, przywdziewanie i zdzieranie masek musiało go wiele kosztować. I myślę, że wreszcie z ulgą w końcu kwietnia 1939 r. wyrzucił z siebie, pod adresem Polaków, nie tylko czego od nich żąda, ale co naprawdę o nich myśli. Tej siły i szczerości oczekiwali od wodza już od dawna hitlerowcy, hamujący z trudem swoją narodowosocjalistyczną gotowość.

7. Według pewnych obliczeń rok wcześniej liczbowo ujęty stosunek sił między Rzeszą i sojuszem angielsko-francuskim był dla Hitlera korzystniejszy, ale w międzyczasie Niemcy odniosły kolejne sukcesy i to wciąż jeszcze bez wojny. Rozprawiły się ostatecznie z Czechosłowacją. Zagarnęły czeski arsenał. Świetny przemysł zbrojeniowy podbitego kraju zaczął pracować dla Trzeciej Rzeszy, zintegrowany z przemysłem niemieckim. Jeden specjalistyczny przykład: elitarne oddziały strzelców górskich z szarotką na czapce zostały wkrótce przebrojone w krótsze, poręczniejsze, skuteczniejsze w trudnym terenie karabinki z Brna. Wehrmacht szkolił się z nieubłaganą intensywnością. Polska, podobnie jak niedawno Czechosłowacja po Anschlussie, została strategicznie otoczona od południa. Tym razem przez sojusznika Niemiec, państwo słowackie, podrażnione dodatkowo zbrojną korektą granic na Spiszu i Orawie, którą to korektą Polska uzupełniła sobie zajęcie Zaolzia. No i wreszcie zawarł Hitler ze Stalinem pakt, który podpisali w Moskwie, przechodząc ramię w ramię do historii, upelnomocnieni ministrowie Ribbentrop i Mołotow. Tym zaskakującym manewrem, dosłownie tydzień przed atakiem na Polskę, Hitler ubiegł anglofrancuską akcję dyplomatyczną pozyskania Stalina. A przy okazji został właściwie ośmieszony inny, tradycyjny pomysł Zachodu, aby skierować agresję Hitlera przeciw Rosji, przynajmniej w pierwszej kolejności przeciw Rosji, po to by komunizm i faszyzm wyniszczyły się w śmiertelnym zwarciu. Tymczasem Hitler znalazł sobie za wschodnią granicą Polski nie przeciwnika, ale sojusznika.

Oczywiście, całą rzecz wysondowano i przygotowano wcześniej, bardzo dyskretnie. I trudno było uwierzyć w możliwość dogadania się dwóch równie nieprzejednanych wrogów, którzy dopiero co próbowali się w Hiszpanii. A jednak nie brakowało przecież zastanawiających znaków na niebie i ziemi. Oto Hitler, od pewnego czasu wbrew swojej namiętnej partyjnej i prywatnej potrzebie zaprzestał wściekłych ataków na komunizm. A nawet, na to doświadczeni komentatorzy zwrócili podobno uwagę, podczas ostatniego przed wojną przyjęcia z okazji noworocznej dla korpusu dyplomatycznego, jak gdyby nigdy nic po raz pierwszy rozmawiał z radzieckim ambasadorem. Mogło też dawać do myślenia, czemu to prasa hitlerowska i stalinowska, posłuszne aktualnej linii, przestały się lżyć. W sumie potrafił Hitler na prawie dwa lata, aż do 22 czerwca 1941 r., zawiesić swój antybolszewizm. Nic dziwnego zatem, że stać było Hitlera na gesty, a tym bardziej słowa, które mogły się spodobać Polakom, potencjalnym, jak mu się zdawało, sojusznikom.

Ideowo pakt, a właściwie sojusz Hitlera ze Stalinem, nawet taktyczny, zdawał się trudny do wyobrażenia, ale z uwagi na tradycje historyczne, czemu nie. Chodziło o kłopotliwą Polskę, która znów wcisnęła się między dwa wielkie narody, potężne państwa, Niemcy i Rosję. Otóż istniał wypróbowany przez ponad sto lat sposób rozwiązywania przekłętego polskiego problemu na drodze zaborów. Tradycja rosyjsko-niemiecka z towarzyszeniem Austrii. Tym razem, po Anschlussie – Austrii zjednoczonej z Niemcami. Czyli można przyjąć, że w 1939 r. zaborcy stawili się w komplecie. I gdyby Hitler ze Stalinem mieli więcej szacunku dla tradycji, mogliby obrać za patronkę swojej osobliwej rozbiorowej przyjaźni skromną szczecińską księżniczkę, która jako wielka rosyjska monarchini Katarzyna II porozumiała się ostatecznie w polskiej sprawie z królem Prus. Nie zapominając o Austrii, żeby też wzięła sobie należną część. W wojsku rosyjskim istniała rywalizacja między wyższymi oficerami o cudzoziemskich (głównie niemieckich) i czysto rosyjskich nazwiskach: kto jest lepszym patriotą państwa i tronu. Czyli istniała też jakaś naturalna niemiecko-rosyjska wspólnota w granicach tego samego imperium. Do najwierniejszych żołnierzy imperium należeli także Niemcy bałtyccy. Baron Wrangel i baron Ungern von Sternberg do końca walczyli z bolszewikami przekonani, mylnie jak się okazało, że zwycięstwo rewolucji oznacza kres rosyjskiej potęgi.

Tymczasem już w 1922 r. w Rapallo, zaraz po krwawym zwycięstwie bolszewików, weimarskim Niemcom porozumienie z bolszewicką Rosją nie wydało się niczym zdrożnym, przeciwnie, obopólnie korzystnym. Na wszelki wypadek – wobec odrodzonej Polski, rozpychającej się znów między Rosją a Niemcami. I wkrótce niemieccy wojskowi skrepowani traktatami o rozbrojeniu mogli, byle dyskretnie, korzystać z gościnnych rosyjskich poligonów. Z lotniczego – w Lipecku. Na poligonie Kama przeprowadzano ćwiczenia z bronią pancerną. W Saratowie odbywały się zajęcia artyleryjskie. Wszystko to koordynowało, nieoficjalne oczywiście, biuro Reichswehry w Moskwie.

Można było brać udział w ćwiczeniach, wspólnie roztrząsać nowości techniczno-taktyczne – z pewnością nie spodobałoby się to obserwatorom zwycięskiej Ententy. Nie wiem, kiedy przetłumaczono na rosyjski hymn SA: „Die Strasse frei den braunen Batalionen”, bo w pierwszych latach, po objęciu władzy przez Hitlera, wobec komunistycznej Rosji obowiązywała oficjalna śmiertelna niemal wrogość. W każdym razie po rosyjsku pieśń brzmiała także mocno, może tylko bardziej melodyjnie, na głosy: „Otkrytyj put' dla naszych batalionow”. I niewykluczone, że śpiewano ją wspólnie gdzieś na terenie Polski jeszcze w 1939 r., np. 22 września w Brześciu

nad Bugiem, gdzie miała miejsce zwycięska sojusznicza defilada, piechota i czołgi, Wehrmacht i Armia Czerwona. A na trybunie – generał Heinz Guderian, wybitny teoretyk, ale i wielki praktyk nowoczesnego użycia wojsk pancernych: polowy mundur, na szyi żelazny krzyż, jeszcze z poprzedniej wojny. Obok kombryg Siemion Mojsiejewicz Kriwoszejn w skromnej komisarskiej kurtce, czerwonoarmista od 1918 roku, uczestnik walk w Hiszpanii i w Mandżurii. W Brześciu na ręce Guderiana złożył III Rzeszy życzenia pokonania kapitalistycznej Anglii. A po tym zwycięstwie zapraszał do Moskwy. Kiedy wszystko się zmieniło, nie poniósł żadnej konsekwencji za swoją gościnność (która była w owym momencie politycznie słuszna). Przeciwnie, już jako generał-major walczył z Niemcami na Łuku Kurskim, wziął udział w operacji berlińskiej. Ale spośród stalinowskiej generalicji tylko on stał na trybunie obok hitlerowskiego asa wojsk pancernych. A umarł własną śmiercią na zasłużonej emeryturze.

Otóż nie doszłoby do tamtej defilady, a także do parady Wehrmachtu przed Hitlerem i generalicją w zdobytej Warszawie 5 X 1939 r... Z jej okazji Aleje Ujazdowskie udekorowano flagami Trzeciej Rzeszy; czarnobrunatne płachty i nieopadłe jeszcze liście zakrywały najbliższe ruiny. Jeszcze w styczniu podświetlone reflektorami swastyki zdobiły pałac Brühla, czyli gmach MSZ, z okazji wizyty Ribbentropa. A kilka lat wcześniej autor przenikliwych reportaży z Niemiec po objęciu władzy przez Hitlera, Antoni Sobański, pisał obiektywnie (sam przyznawał, że snobuje się na obiektywizm): „Flagi ze swastyką widać wszędzie i kolorystycznie wyglądają świetnie. To może najbardziej udana flaga, jaką znam. Jest dekoracyjna w duchu chińsko-japońskim”. Podobne zdanie po klęsce wrześniowej stało się całkowicie nieaktualne: Sobański w tym czasie znajdował się wśród polskich uchodźców wojskowych i cywilnych we Francji i myślę, że może zdziwiłby się, że mógł coś takiego napisać.

Nie byłoby zatem tych defilad w Brześciu i w Warszawie i w ogóle całego tragicznego Września: wystarczyło zgodzić się na niemieckie żądania w sprawie Gdańska i eksterytorialnej szosy z koleją w poprzek korytarza. A co byłoby dalej? Tego już się nie dowiemy. Większość politologów historii najnowszej twierdzi, że na tym by się nie skończyło. Że Gdańsk i autostrada nie były wcale takie ważne, bo nastąpiłyby kolejne roszczenia, a w ogóle chodziło Hitlerowi o przystąpienie Polski do paktu antykominternowskiego, celem, w odpowiednim momencie, zaatakowania Rosji. A więc coś w rodzaju politycznego testu. Tak albo nie. Dla Polski, i osobiście dla ministra Becka. Czy ustąpi zatem, zwiąże swój los z Hitlerem, słowem dokona odważnego wyboru, zaufa Hitlerowi przynajmniej na 25 lat, bo na tyle Führer ofiarował swój sojusz. Czy raczej pozostanie w denerwującym związku sojuszniczym z Francją, gdzie panoszy się pacyfizm, lewica i demokratyczne bezhołowie. A poza tym Francja nie zachowuje się wobec Polski i jej ministra, jak na to zasługują, czyli *comme il faut*. Anglia nie jest z kolei już tą imperialną Anglią, zresztą Polską się nie interesuje, natomiast Niemcy – jak najbardziej. Traktują Polskę bardzo poważnie, znając jej tradycyjne poczucie zagrożenia od wschodu, które wzmocnił jeszcze antykomunizm. I tu pewności siebie powinno Polsce dodać zwycięstwo 1920 r.

8. Znany, zmarły niedawno historyk Piotr Paweł Wieczorkiewicz od pewnego już czasu ulegał namiętności rewidowania historii najnowszej, przyjemności mówienia o tej historii alternatywnie i niepoprawnie. Już nigdy się nie dowiemy ile było w tym przekonania, ile podejrzewam, również gustowania w prowokacji i skandalu. Otóż Wieczorkiewicz widział przed Polską w trudnej sytuacji 1939 roku obiecującą perspektywę zupełnie innej defilady. O półtora tysiąca kilometrów dalej na wschód. W Moskwie. Tam przed Hitlerem i Rydzem-Śmigłym (zdaje się, że na trybunie honorowej przewidziano również miejsce dla Guderiana), przez Plac Czerwony defilują jednostki polskie i niemieckie razem, zwycięskie. Prawdopodobnie na początek niemiecki paradenmarsch czyli noga wyprostowana do poziomu i idealnie równo zgrane, z pełnego rozmachu uderzenie setek podkutych obcasów o bruk. Był to zresztą popularny także i w Rosji krok defiladowy, który również dziś można podziwiać podczas zmiany warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza u kremłowskiej ściany.

Czołgi, samochody pancerne, artyleria, może górą samoloty? Tak jest, niemiecka technika, tak jest, niemiecka potęga. Natomiast kawaleria – polska, chociaż i Wehrmacht wciąż docenia niezawodność trakcji konnej, zwłaszcza na Wschodzie, gdzie bezdroże, błoto i piasek. Na olimpiadach, zwłaszcza tej ostatniej, berlińskiej, na niemieckich jeźdźców posypał się przecież deszcz medali. Kawaleria polska ma jednak historyczny wdzięk, co być może jest komplementem trochę dwuznacznym. Ale tej tradycji należy się uznanie. Odwiedzili Polacy już Moskwę pieszo i konno, nie tak znowu dawno, zaledwie kilka pokoleń wstecz, z Napoleonem. Niestety, brakowało tam czasu i nastroju do defilad. W mieście wybuchły pożary, zaczął się tragiczny odwrót. A w ogóle z Hitlerem byłaby to już trzecia zbrojna wizyta Polaków na Kremlu. Ta pierwsza, właściwie pobyt, krótka dwuletnia okupacja skończyła się w 1612 roku, równo 200 lat przed wyprawą Napoleona.

Więc, puszczając dalej cugle wyobraźni (wszak mówimy o kawalerii), w kierunku wskazanym przez profesora Wieczorkiewicza, można by się zastanowić, który to pułk miałby dostąpić defiladowego zaszczytu. Ten zasłużony w roku 1920, o najdłuższym szlaku bojowym, czy inny, który odniósł wówczas szczególnie błyskotliwe zwycięstwo. Ewentualnie kryterium geograficzno-polityczna. Wtedy pasowałby pułk znad wschodniej granicy, np. IV Pułk Ułanów Zaniemeńskich, z biało-niebieskimi proporczykami. A może, patrząc w przeciwną stronę – Pułk Ułanów Poznańskich, dla których polsko-niemiecka defilada byłaby okazją, żeby powalczyć z wzajemnymi stereotypami. Chyba jednak należałoby uwzględnić bieżące bojowe zasługi w dopiero co zakończonej antykominternowsko-antykomunistycznej zwycięskiej kampanii. A co z polsko-niemieckim braterstwem broni, scementowanym wspólnie przelaną krwią (jak dziwnie te słowa dźwięczą, prawda?), bo niewątpliwie przelaną? W każdym razie na defiladzie w Moskwie, którą zalecił profesor Wieczorkiewicz, mogłaby Polskę reprezentować kawaleria, czyli ten rodzaj wojska, który Polacy najbardziej kochają. Może jeszcze jakiś batalion legionowego pułku piechoty, a to ze względu na specjalną atencję, jaką Niemcy hitlerowskie darzyły pamięć marszałka Piłsudskiego.

Ten szczególny stosunek Trzeciej Rzeszy do Piłsudskiego, a zwłaszcza pamięci o nim, co już przychodziło łatwiej, był dla Polski trochę krępujący. Oczywiście nie brakowało tutaj z niemieckiej strony politycznej kalkulacji: postać naszego marszałka drażniła wszystkich sąsiadów Polski, i nie bez powodu. Premiera Litwy Voldemarasa, Piłsudski w Genewie zapytał wprost: Pokój czy wojna? Związek Radziecki został przez Piłsudskiego, jako Wódza Naczelnego, pokonany. Czechosłowacji nie znosił, mając w pamięci, że wkroczyła na Zaolzie, korzystając z Wojny 1920 r.

Francja za Piłsudskim i piłsudczykami też nie przepadała. I wzajemnie. Uważano w Warszawie, że Francuzi przypisują sobie zbyt wielką rolę w zwycięstwie nad bolszewikami. Słowem, tylko Niemcy, nowe hitlerowskie Niemcy, starały się docenić polskiego bohatera. Szczerze, czy nieszczerze, to inna sprawa, ale takie gesty musiały się podobać. Niechby pochlebstwa, ale zasłużone. Nie do przyjęcia? Szkoda, że nie od Francuzów i Anglików? No trudno! Od historycznego wroga, ale jednak, właściwie dlaczego nie. Na przykład taki miły gest: przysłano z Magdeburga do Warszawy drewniany domek, w którym w 1918 r. więziono Piłsudskiego. Satisfakcję mógł odczuwać np. minister Beck, który miał w gabinecie popiersie marszałka, a nad głową marmurowy zegar, którego unieruchomione wskazówki wskazywały godzinę śmierci Piłsudskiego. Beck zwierzał się zresztą, że kiedy miał polityczne problemy, zastanawiał się jakie byłoby rozstrzygnięcie marszałka. I Beck, podobnie jak jego mistrz, ojciec duchowy Piłsudski, był – jak to się mówi – decyzyjny. Brakowało mu politycznego taktu, wysłał na przykład na Litwę ultimatum w dniu urodzin marszałka i uważał to za gustowny pomysł.

Nawet zamiar wojny prewencyjnej przypisywany Piłsudskiemu, a w każdym razie ostrą polską reakcją w kilka tygodni po dojściu Hitlera do władzy, żeby sprawdzić niebezpiecznego podobno kanclerza, co nie pogorszyło wzajemnych stosunków, przeciwnie zawarto paktu o nieagresji. Obok wyrachowania politycznego wolno się

chyba dopatrzeć w tym respektu, jaki Hitler żywił dla Piłsudskiego, a nawet zauważmy trochę bluźnierczo, że mógł się Hitlerowi Piłsudski spodobać jako mocny człowiek, który na przykład nie wahał się zafundować swojej opozycji procesowi w Brześciu, obozu w Berezie Kartuskiej. W każdym razie przykro jest oglądać zdjęcie, na którym obok naszego marszałka, postarzałego już, schorowanego, z szablą i pod wąsem, stoi nikczemnej postaci diabeł wcielony dr Goebbels. Na zdjęciu są też minister Beck i ambasador Moltke, ale ich obecność jest całkowicie zrozumiała. A Goebbels na marginesie swoich oficjalnych obowiązków wygłosił wtedy odczyt w Resursie Obywatelskiej. Zapewne o niemieckich przemianach. I już pięć lat później, 6 września 1939 r. inny niemiecki uczony Oberturbahnführer dr Bruno Müller, zaprosił wszystkich profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego na swój odczyt. Miał mówić na temat polityki Trzeciej Rzeszy wobec uniwersytetów, ale był znacznie mniej elokwentny niż Goebbels. Odczytał po prostu komunikat, że wszyscy obecni są aresztowani. I prosto z auli, zebrani tu w dobrej wierze, ciekawi tematu, choć może się to wydać naiwne, wszak nad Wawelem łopotała już flaga hitlerowska, profesorowie, którym Trzecia Rzesza osobiście pomieszała się z CK Austrią, pojechali do Sachsenhausen.

Śmierć Piłsudskiego, mogło się wydawać, ułatwi Hitlerowi grę z Polską. Z charyzmatycznym marszałkiem byłoby z pewnością sporo problemów. Tym bardziej w Berlinie uczczono tę śmierć. Na mszy żałobnej za duszę wielkiego zmarłego, w katedrze berlińskiej pod wezwaniem św. Jadwigi, zjawił się kanclerz Hitler ze swoimi dostojnikami. Obecni byli między innymi ministrowie spraw zagranicznych von Neurath, wojskowych von Blomberg, propagandy dr Goebbels i sprawiedliwości dr Frank, przyszły generalny gubernator na Wawelu. Przedstawiciele generalicji: generał von Fritsch miał zginąć w 1939 roku pod Warszawą, von Reichenau wyróżnił się w tej kampanii; generał wojsk lotniczych Milch i admirał Raeder odegrali znaczącą rolę w następnych wojennych latach.

Watykan był reprezentowany przez przyjaźnie wobec nowych Niemiec nastawionego nuncjusza papieskiego Cesarego Orsenigo. Natomiast mszę żałobną celebrował proboszcz katedry prałat Bernard Lichtenberg, który za publiczne wystąpienia przeciw prześladowaniu Żydów został w 1943 roku aresztowany przez Gestapo i zmarł w drodze do Dachau.

Polskimi gośćmi podczas tej podniosłej uroczystości byli generał Tadeusz Kutrzeba, śpiewacy Adam Didur i Jan Kiepura, boska Pola Negri i poseł, a wkrótce ambasador Józef Lipski.

W warszawskich uroczystościach pogrzebowych uczestniczył Hermann Göring, druga osoba w państwie Hitlera. W mundurze generała wojsk lotniczych, z buławą i przy orderach, przez cztery godziny kroczył Göring za trumną Marszałka, złożoną na armatniej lawecie. To prawda, był niegdyś Göring dobrym alpinistą, bojowym pilotem, ale teraz ważył już około 120 kilo. A potem jeszcze Kraków, uroczystości krótsze, ale należało wspiąć się na Wawel, gdzie złożono ciało Piłsudskiego w królewskiej krypcie. W pogrzebie uczestniczyli też: sędziwy marszałek Petain w błękitnym płaszczu i premier Pierre Laval, przyszły szef Rządu Vichy, z którym Göring miał okazję porozmawiać. Inne państwa nie znalazły się tak elegancko. Anglia przysłała jakiegoś wysłużonego feldmarszałka Cavana. Czesi – delegację kilkunastu oficerów z dwoma generałami, co nie bardzo wiadomo dlaczego zostało uznane za nietakt w złym guście. Ale najgorzej znaleźli się Amerykanie. Ponieważ poseł amerykański, pan Cudaby rodem z Bostonu, miał już wcześniej wykupiony bilet okrętowy, ograniczył się do przesłania noty kondolencyjnej i spokojnie odpłynął. Ten afront nie przeszkodził zresztą jego autorowi w dalszej karierze dyplomatycznej: był potem jeszcze posłem swej ojczyzny w Dublinie i ambasadorem w Brukseli.

Wojna z Polską nie przeszkodziła III Rzeszy w manifestowaniu szacunku dla Piłsudskiego. Natychmiast po zajęciu Krakowa dowódca korpusu, gen. Kienitz wystawił przed grobem Piłsudskiego na Wawelu uroczystą wartę. A w parę dni później zjawił się tam, ze stosownym wieńcem, dowódca 14 armii gen. List.

Istniała też niezmienną przez jakiś okupacyjny czas ulica Piłsudskiego, Piłsudski Strasse.

Byłoby całkiem logiczne, że reżyserując moskiewską defiladę, Niemcy powierzyliby część kawaleryjską Polakom, mając ugruntowane przekonanie o polskich zamiłowaniach do wojskowego fechtunku i blichtru, napoleońskiej tradycji. Prezentując jednocześnie swoje nowoczesne wojsko, pancerne i zmotoryzowane, daliby Niemcy do poznania, do przemyślenia, jaki jest rzeczywisty układ sił między sygnatariuszami paktu antykominternowskiego w działaniu. I jaka przyszłość, jeśli w ogóle jakaś rysuje się przed takim aliansem. O czym profesor Wieczorkiewicz już nie spekulował. Porwany swoim autorskim, przyznajmy, pomysłem defilady na Placu Czerwonym.

Czy według profesora, wróćmy do głównego pytania, należało ustąpić Hitlerowi w sprawie Gdańska i korytarza? Póki co – ustąpić tylko w sprawie szosy przez korytarz. No oczywiście należało i jeszcze się opłacało, bagatela, uznać ideę współpracy z Hitlerem za sensowną, zaufać Führerowi. A więc ustąpić, mało tego, ustąpić z przekonaniem, pozytywnym, uczciwie, choć w danym kontekście to słowo może wydać się osobliwe. Ustąpić nie

ze strachu przed wojną, bo wojna czekała Polskę, tyle, że według tej opcji w innym kierunku, nie dla trzeźwej kalkulacji w oparciu o dane polskiego wywiadu, który na próżno próbował uświadomić polskiemu rządowi, dowództwu, jaka jest różnica potencjału wojskowego Niemiec i Polski. Ale z przekonaniem, bo może to właśnie świadomość niemieckiej potęgi powinna była zachęcić Polskę do współpracy z Hitlerem?

9. Wróćmy do historii, która naprawdę miała miejsce, a była dla jej świadków i uczestników równie nieprzewidywalna. Bo istotnie przedefilowali Polacy przez Plac Czerwony, ale dopiero w 1945 r. u boku Armii Czerwonej. Otwierał Paradę Zwycięstwa, na białym koniu, marszałek Żukow, zdobywca Berlina, a swoją nienaganną kawaleryjską sylwetkę zawdzięczał służbie w rosyjskiej kawalerii jeszcze przed rewolucją. Przed trybunę, niejako pod nogi Stalinowi, rzucano zdobyczne niemieckie chorągwie. W tej defiladzie uczestniczył kombinowany polski batalion, a prowadził go przedwojenny zawodowy oficer, uczestnik Kampanii Wrześniowej i jeniec niemieckich oflagów, kapitan Józef Kuropieska. Polacy szli przed Generalissimusem, jego marszałkami i towarzyszącymi partyjnymi, których pozostawił przy życiu. Na komendę przybijali obcasami, kierowali wzrok w stronę trybuny, oficerowie salutowali po polsku, dwoma palcami. Chociaż wcześniej był 17 września, Katyń, obojętność wobec tragedii Powstania, prześladowania akowców. Nie tyle zdobycie, jak to figuruje w tytule powieści Miłosza, ile zagarniecie władzy dla posłusznych popleczników nowego ludowego państwa. Z pewnością wielu polskich uczestników defilady orientowało się, jaka jest przeszłość, obecna i przyszła polska sytuacja. Ale zwasalizowana ojczyzna w końcu wybiła się na niepodległość. Defilada przed Hitlerem na Placu Czerwonym skończyłaby się nieporównanie gorzej. Trzecia Rzesza musiała przegrać, bo miała pomysł tylko na niemiecki, szerzej, po rasistowsku, nordycki świat. A innym rasom czy narodom mogła zaproponować różne stopnie niewolnictwa. Więc przymierze z Hitlerem skończyłoby się dla Polski nie tylko klęską, ale i hańbą współudziału w walce z całą cywilizacją europejską, do której Polacy przecież się poczuli.

A wiec Beck miał rację? Odkąd zaczął się wyraźniej opierać niemieckim awansom i w końcu zdecydowanie honorowo się postawił? Właśnie dlatego, że za niemieckimi zadaniami stała wcześniej ponawiana propozycja sojuszu. Czyli Gdańsk z autostradą były w gruncie rzeczy jakimś testem i tak też zostały zrozumiane. Z kim mianowicie Polska chce się związać w chwili niebezpiecznej dla europejskiego, czyli światowego pokoju? Zgodnie z tak zwanym testamentem Piłsudskiego, w grę jako sojusznik nie wchodził żaden z potężnych sąsiadów. Każdy z nich obok siły dysponował jeszcze ideologią nie do przyjęcia dla zdrowo, tzn. w sposób zrównoważony, cywilizowany, myślącego człowieka. I Beck postawił na sojusze – jak mu potem wytykano – egzotyczne. Nie takie egzotyczne znowu, przynajmniej z państwami demokratycznymi, niezależnie od pretensji, jakie można mieć do demokracji, zwłaszcza demokracji w działaniu. Myślę, że Polska drogo zapłaciłaby za tamtą defiladę moskiewską wspólną z Niemcami. Gdyby w ogóle do niej doszło. Ale nie doszło, na szczęście. Zresztą Niemcy i tak musiały wojnę przegrać, bo ich plan polegał na podporządkowaniu sobie całego świata. Co się jeszcze nikomu nie udało. I Polska dzieliłaby z Niemcami klęskę w niesławie. Ale świat nie może obyć się bez Niemiec. Po obu wielkich wojnach, które Niemcy wywołały, karcono je, a potem troszczono się, aby doszły do równowagi. I Rosja, podobnie jak Niemcy, do końca świata musi istnieć, budząc strach i podziw, nadzieję czy potępienie. Natomiast Polska, co wykazały zabory, panowie Mołotow z Ribbentropem, a także Jałta, wcale nie musi być dla świata niepodległa. Mogła zostać podzielona między ościenne mocarstwa, czyli zniknąć z mapy Europy. Na ponad sto lat. Stanowiąc obszar, na którym spotykają się tymczasowe granice, ścierają się strefy wpływów, jak to się stało we wrześniu 1939 r., albo egzystować w zależnej pół-niepodległości, co zdarzyło się Polsce po ostatniej wojnie. Obawiam się, że po nieuchronnym rozpadzie niemieckiego imperium (jeśliby takie zdążyło nawet powstać) nie znalazłby się polityk równie potężny i wspaniałomyślny jak Wilson, co by upomniał się o wskrzeszenie kłopotliwego państwa polskiego, któremu – to prawda – nie sprzyjała historia, ale samo też było sobie winne. I oto właśnie nie potrafiło się odpowiednio zachować, wiążąc się z hitlerowskimi Niemcami. Ale ów związek to, dzięki Bogu, tylko perwersyjna, alternatywna fikcja historyczna.

Mimo że od 1 września 1939 r., czyli najdłużej ze wszystkich, Polska znajdowała się w stanie wojny z Trzecią Rzeszą, a Związek Radziecki dopiero od 22 czerwca 1941 i to Hitler zbrojnie zerwał tę niemal dwuletnią przyjaźń, mimo że Polacy bili się jak najlepiej potrafili na wszystkich frontach, mimo państwa podziemnego, ruchu oporu, Powstania Warszawskiego, cierpienie ludności – mimo to propaganda radziecka oraz jej sojusznicy uzyskali znaczne sukcesy w obrzydzeniu sprawy polskiej, polskich pretensji, przekonując w tej kwestii znaczną część opinii światowej, co zresztą było dla świata wygodne. Że Armia Krajowa niewiele znaczy wojskowo (to akurat była prawda), a zajmuje się głównie mordowaniem komunistów. Stoi z bronią u nogi. Zbrojnie przeszkadza Armii Czerwonej w ofiarnym wypełnianiu alianckiego zobowiązania, aby dobić faszystowskiego zwierza w jego legowisku. Czyli, że obiektywnie, nie wykluczając tak do końca elementów subiektywnych, AK działa na korzyść Hitlera. A przykładem może być, według tej oszczerczej propagandy, prowokacyjne, dywersyjne bezpodstawne imputowanie Związkowi Radzieckiemu odpowiedzialności za mord katyński. I to kiedy Armia Czerwona wyzwała

okupowane narody, a rząd radziecki obiecuje ustanowienie demokratycznych dobrosąsiedzkich stosunków ojczyźnie Piłsudskiego, polityka, który nie miał w Europie opinii demokracji.

No i teraz wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby sprawa polska w oczach zwycięskiej koalicji, gdybyśmy choć na chwilę znaleźli się w jednym obozie z Hitlerem i defilowali po Moskwie, gdzie pamięć o czasach smuty i polskiej okupacji Kremla żyje od czterystu lat.

Dla Polski kilkuletnie, więcej niż poprawne stosunki z Niemcami były niebezpiecznym interesem. Dla Niemiec sprawa przedstawiała się interesująco. Zapewne wśród fachowców mogły pojawić się różnice zdań, czy milionową co najmniej polską armię, dobry gatunek armatniego mięsa należałoby podciągnąć do niemieckich standardów organizacyjnych? Chyba jednak nie do końca. W nazistowskiej, a wcześniej pruskiej mentalności zakodowane było poczucie wyższości wobec Słowian. Czyli na wszelki wypadek i dla zasady chciało się trzymać ludzi rasowo niższych, choć doraźnie użytecznych, na stosowny dystans, w niższości modernizacyjnej. Ale niewykluczone, że zaplecze propagandowe Wehrmachtu (jakaś sekcja historyczno-literacka) zainteresowałaby się „Bartkiem Zwycięzcą”. Ów sienkiewiczowski bohater któregoś z pułków poznańskich w armii pruskiej, który tak dzielnie tłukł Francuzów w 1870 r., przy zręcznym retuszu byłby ogromnie przekonywający jako pogromca bolszewików w rytm polskiej piosenki „Bolszewika goń goń goń”. Oczywiście współpraca wojskowa polsko-niemiecka, mimo istnienia wspólnego kominternowskiego wroga, byłaby niełatwa również ze względu na zaszłości historyczne. Rzecz jasna Polacy oraz inne słowiańskie plemiona w granicach polskiego państwa (Żydzi to osobny problem) miały w niemieckiej nordyckiej przeszłości miejsce, które Adolf Hitler już im był wyznaczył. Ale przecież mogły być wykorzystane instrumentalnie. Co stanowiło dla nich szansę, rodzaj łaski historycznej, a może w indywidualnych wypadkach perspektywę awansu. Czy rozpowszechniony w Polsce antysemityzm nie mógłby tu stanowić jakiejś płaszczyzny porozumienia? Albo w sferach oficerskich tradycje wojskowe, sztyk, sport i elegancja? A jednak nie da się wykluczyć, że Hitler, przyglądając się Polsce, czyniąc oczywiście podstępne awanse, nie mógł się tak zupełnie pozbyć jakiejś swojej wobec Polski, choćby przejściowej, interesownej słabości, bo pewne rzeczy mogły się Hitlerowi w Polsce podobać.

Nie tylko Piłsudski jako pogromca bolszewików, antykomunista, który rozstrzygnął różnice zdań między swoimi wojskowymi podczas specjalnie zwołanego posiedzenia tzw. Laboratorium. Po myśli Hitlera. Pytanie brzmiało: kto jest większym zagrożeniem dla Polski: Rosja czy Niemcy? Zdania były podzielone: pięć do pięciu. Piłsudski zdecydował, że Rosja. Jest i będzie. O czym Hitler musiał wiedzieć.

Wyobrażam sobie, że gdyby jakieś wysoko kwalifikowane służby propagandowe podległe Goebbelsowi przygotowywały dla Hitlera wyciągi z polskich gazet, coś w rodzaju prasówki od czasu do czasu, to Hitler mógłby z przyjemnością smakować antysemickie cytaty. Na przestrzeni całego trwania II RP aż po jej ostatnie dni, faszystujące „Prosto z Mostu” jeszcze latem 1939 r. (inna rzecz, że Hitler nie miał już wtedy na nic czasu) pisało, że głównymi wrogami Polski są właśnie on, Hitler i cztery miliony polskich Żydów. Gdyby Hitler miał poczucie humoru (na ten temat nic nie wiadomo, z pewnością Stalin przewyższał tu Hitlera) uśmiechnąłby się może pod swoim słynnym, chaplinowskim wąsem. Ciekawy był też dalszy wywód artykułu o tym, że jeszcze większym niebezpieczeństwem jest dla narodu polskiego postawa tych Polek, które hołdują zasadzie „bez wstydu i bez dzieci”. Kilkadziesiąt lat później, tzn. dziś, podobną ideologię określa się z niektórych ambon jako złowrogię „Róbta co chceta”. W 1939 r., w przededniu wojny, rozważania moralno-demograficzne uzupełniono jeszcze aktualną myślą, że mniej polskich dzieci oznacza mniej polskich żołnierzy. W innym numerze „Prosto z Mostu”, z tegoż roku wojny, znajdziemy ostrzeżenie przed Żydami, którzy chcą koniunkturalnie sprzymierzyć się z Polską przeciw Hitlerowi. Tu znów mógłby się Hitler zadumać, ale podobnie, jak poczucie humoru, refleksje chyba nie były jego silną stroną. Zadumać się jak to się dzieje, że ludzie tak czujni wobec żydowskiego niebezpieczeństwa, prawdziwi Polacy oraz ideowi Niemcy staną przeciwko sobie. Zamiast wspólnie uderzyć w żydokomunę. Że oto nacjonalizm (tu już chyba dokonują manipulacji intelektualnej z Hitlerem), to piekielnie ludzkie uczucie, które jest nacechowane zdrowym egoizmem, wyklucza wspólne działanie. Ale trudno, najważniejsze są Niemcy, Niemcy ponad wszystko.